1844. Nr 20. ROK 3.

Redaktor Główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Wspomnienia mojéj młodości.

(Dalszy ciąg).

Łatwo sobie wystawić jakie wychowanie ta druga Matka mogła dać swoim pasierbom. Siostrę moję najstarszą wysłał Ojciec do krewnych, my 4 mali chłopcy musieliśmy w domu pozostać. Mało znaliśmy, co to jest być w pokoju Rodziców. Izba czeladnia i chaty wieśniacze to był najczęstszy nasz pobyt. Chorując na chrosty, leżeliśmy wszyscy w małéj izdebce kuchennéj, i nikt ze służących bywających w pokoju nie mógł się do nas przybliżyć, aby nie zarazić siostry z powtórnéj żony. Umarł starszy mój brat, my wyzdrowieliśmy staraniem wieśniaczek, które żaląc się sierot, same nas przybywały rato-

wać i opatrywać. W ubogiéj historyi życia jak moje, zasługuje na wspomnienie jedna z najpoczciwszych kobiét, którą tylko pod nazwiskiem Róży pamiętam. Jakżebym rad lepiéj ją nagrodzić! Była to stara kobiéta wieśniaczka, można powiedzieć nasza jedyna Matka, która za życia Matki wszystkich nas wypiastowała. Ta znosiła od macochy mojéj tysiączne łajania, kułaki i służbę najprzykrzejszą, jedynie z przywiązania do nas, gdy, jak mówiła, Matka jéj w chorobie prosiła, aby nad nami miała opiekę. Czyniła ona wszystko na swój stan i rozum. Pokój cieniom Twoim zacna kobiéto, godna czci u zacnych ludzi! Ona w ukryciu zastępowała nam Matkę, jéj jedynie winienem, co wiem o niéj, gdyż to była jéj najmilsza z nami rozmowa. --

Cierpiałem wszelkiego rodzaju niegodziwości macochy, i nie znałem prawie co to jest mówić z Ojcem, gdyż chociaż nie surowy, ale zawsze był mało mówiący i daleki od dzieci; nie miałem żadnego bliższego dozoru, gdyż nadto byłem w wychowaniu zaniedbany, abym się do kogoś ośmielił lub stał się powabnym; byłem, mogę powiedzieć, dzieckiem natury do 11go roku. Przecież, jeżeli wspomnienie chwil tego wieku jest każdemu przyjemne, dla mnie jest najmilsze. Zostawiony zupełnie sobie samemu w wieku, w którym ta wolność mniéj szkodzi, używałem świata w prawdziwém tego słowa znaczeniu, świata jaki mnie otaczał. Wtenczas o niczem lepszém nie wiedziałem, i dla tego zdaje mi się, że potém nigdy nic lepszego nie użyłem. — Używałem życia wiejskiego w prawdziwém tego słowa znaczeniu. Byłem wolny w używaniu mego czasu, gdyż prawie o mnie nikt nie pamiętał, a cenę téj wolności znałem, gdyż ona była skutkiem i ucieczką od srogości macochy. Jakkolwiek-bądź, muszę ci tę sielankę mojego życia opisać. Miała ona wielki wpływ na mój los i na mój charakter. — Lipnica murowana, jak wszystkie okolice w górach, ma nader piękne położenie. Dworek w którym Ojciec mój mieszkał, leżał w dolinie otoczonéj rzeką niewielką,

która z góry spadając, za każdym deszczem wzbierała, a po kamienistém łożu z podnóża gór i skał płynąc, szum wielki wydawała. Chaty rozrzucone na górach między sadami, czarujący w jesień dawały widok; ku wschodowi od dworku była za podwórzem i stawem rozległa łąka, na któréj mała krynica zarośnięta krzewem i wzniosłemi ziołami różnéj barwy, była siedliskiem ptastwa i motylów. Młyn wodny za tą łąką napełniał łoskotem tę cichą dolinę, a rozległe za nim trawniki rzędami wierzb wysadzone, napełniały się mnóstwem dzieci wiejskich, których piszczałki i śpiewanie rozweselały powabną ciszę owego miejsca. Pobok rozciągały się pasma gór coraz wyższych, a w pogodny ranek wzniesione ku niebu Karpaty zdawały się być granicą ziemi. — Droga grzbietem gór idąca, piękny czyniła widok przeciągających wozów. Za polami piękny las jodłowy, który się w nizinie gubił. Po drugiéj stronie dworu, dwa dęby nadzwyczajnéj wielkości panowały całéj osadzie. O kilkanaście staj widać na wzniesieniu miasteczko murowaną Lipnicę z trzema starożytnemi kościołami, ku któremu droga wierzbami wysadzona i scieszka przez piękną łąkę i cmętarz idąca. — Widok tego miasta miał dla mnie zawsze jakąś odrazę. — Była tam szkółka elementarna, do którejśmy z bratem uczęszczać musieli. Ulewy, zaspy śniegu nie mogły nas od przykréj podróży uchronić; w zimie była to wyprawa na cały dzień z kawałkiem chleba, w którego środek włożono kawałek masła. — Nie znam straszniejszego nauczyciela nad tego, któregośmy mieli, miał włosy pudrowane, wystrzyżone zupełnie z przodu, ogromny warkocz i długie fryzowane loki, które mu uszy zasłaniały, co przy śpiczastém czole szczególną figurę czyniło, i różniło tego człowieka od wszystkich ludzi, jakich widziałem. — Długa wyszywana kamizelka i surdut z klapami po kostki u boku, a od ogromnego warkocza cały w tyle zbielony, przy powolnym i pedanckim chodzie, jednał mu od nas dziwne uszanowanie. Ogromne oczy i wargi niezmiernie wypukłe panowały przecież nad nosem szerokim. Żona jego mogła

być śmierci wyobrażeniem; nosiła zawsze białą suknię ze stanem jak najdłuższym, który jéj cienką figurę dziwnie wydatną czynił. Okropny był widok, gdy często w dzień pogodny na progu siedząc, obcinała brzezinę, a długie rózgi w cebrzyk wodą napełniony składała. Tę brzezinę sam pan professor zwykł był ze spaceru przynosić. Brzezina była u niego najważniejszym punktem pedagogiki. — Umeblowanie szkoły miało widok okropny. W środku wisiał wielki drewniany krucyfiks; za ręce i za nogi Chrystusa i na gwoździach zatknięte były świéże rózgi, kika prętów i dyscyplina. Był to wizerunek szkolnéj passyi. Pan professor wszedłszy do szkoły, zawsze z groźną miną wprzód do owego składu rózg przystępował; wprawne probowanie rózg wydawało świst przerażający, poczém uzbrojony tém berłem, zaczynał z nami modlitwę; można się domyślać, że takowa modlitwa z największą odbywała się skruchą i z prośbą o oddalenie niebezpieczeństwa. Pan professor miał często dziwny humor do bicia dzieci; bicie rózgą w rękę za każde zająknięcie, za każdą mylkę w pisaniu, były wiernie każdemu wyrachowane. Pokładanie na środku zabiérało dużo nudnego czasu, kara ta chłopca odbywała się w obecności płci obojéj, dziewczęta prowadzone były do osobnéj komórki. Pan professor, będąc razem pisarzem magistratu, często w czasie lekcyj był odrywany; był to czas najwyższéj swawoli bez różnicy płci obojéj. Młodzież składała się z miejskich i z wiejskich dzieci. Partija mieszczan była najgorsza i najsilniejsza; wiejskie dzieci musiały byc skromne, a my najwięcéj, gdyż nas jako szlachciców prześladowano. — Dniem najokropniejszym była zawsze sobota. Na ten dzień przeznaczony był zawsze katechizm dawany po niemiecku, w którymeśmy ani treści rzeczy ani języka nie rozumieli wcale. Mało kto był, często nikt, żeby za katechizm chłosty ujść zdołał. Trwoga i cichość i roztargnienie, jakie w ten dzień panowały, trudno opisać. Każdy zapytany po piérwsém zająknieniu, występował na środek klęczyć, a tak całe ławki się wy-

próżniły; wszystko klęczało czekając w największéj trwodze ostatniego, który ma być na to miejsce egzekucyi wskazanym; poczém nastąpił jeneralny płacz i prośby, wśród których każdy podług wieku odbierał przeznaczoną mu ilość. — Zamykano wtenczas okno, płakać głośno broniono, gdyż często zdarzało się, że Matki przechodzące lub blisko mieszkające, tę egzekuciją mięszały. W téj kochanéj szkole przez 3 lub 4 lata będąc, prócz pisać i nieco czytać po polsku i po niemiecku, nic więcéj się nie nauczyłem. Należąc do partyi chłopców wiejskich, zabrałem z niektóremi prawdziwą przyjaźń, i im winienem szczęśliwe wiejskie zabawy. Co to za roskosz była, po ukończonéj szkole puścić się z niemi między góry i sady, dostać się po kilkogodzinnym głodzie i nudach na drzewo wiśniami lub gruszkami ciężące, pojeździć na onych maleńkich konikach, prowadzonych na paszę na dalekie dąbrowy, kąpać się do lasu bosą nogą środkiem piasczystéj krynicy. W tych najmilszych zabawach z prostémi wieśniakami, byłem najszczęśliwszy. W domu nikt się o mnie nie troszczył i nie miano mi téż za złe, choć się najdłużéj zabawiłem. Życie takowe zrobiło mnie nieśmiałym do ludzi wyższego stanu nad wieśniaków, ale wiele mu dobrego winienem. Ono rzeźwiło moje słabe z urodzenia zdrowie, przez nie nabrałem przywiązania do cnotliwych naszych rolników. Z jakąż roskoszą przypominam sobie te chwile, gdy te chłopcy nauczały mnie konia dosiadać, iść za broną i umieć konia na inny zagon nawracać. Podczas mglistéj jesieni trawiłem często późne wieczory przy kopaniu kartofli, lub przy pasterzach, gdy przy ognisku piekąc kartofle bajki opowiadano, które naówczas składały dla mnie jedyną literaturę i dziś może wdzięki by miały, gdybym je równie słyszał opowiadane. Przez zabranie szczególnéj przyjaźni z synem jednego garncarza, nabrałem wiele chęci do tego rzemiosła; dozwolono mi często téj zabawy, a cnotliwy wieśniak, Ojciec mojego kolegi, widząc wemnie niepospolitą ochotę i zdolność, troskliwie mnie do swojego stanu

zachęcał, mówiąc: iż lepiéj swobodnie pracować niż być sierotą u macochy, która mię dziś zupełnie zaniedbuje a po śmierci Ojca z domu wypędzi. — Wieśniacy tych okolic, obok naturalnego rozumu i dobroci, więcéj mają oświecenia, są porządniejsi i trzeźwiejsi niż w innych prowincijach Polski. W górach mniéj znają nieszczęścia wojny, nie doznają kwaterunków niszczących moralność i prostotę obyczajów; handel fruktami, chmielem i płótnem, a najwięcéj czynszowe tylko opłacanie gruntu, czyni ich zamożnymi, tak że majętnym liczą do kilkunastu tysięcy złotych. Ojciec mój mało zasiewał gruntu, ubogim wyrobnikom i oddalonym ze służby żołnierzom, przeznaczał pole na swoim wójtostwie i chaty z małemi bardzo obowiązkami. Wdzięczność tych ludzi i przywiązanie ich do Ojca i do nas, były bez granic. Żadna wieśniaczka ani chłop nie przyszedł do domu, żeby nam tajemnie przed macochą owoców lub kukiełek z jarmaku nie przyniósł. Żniwiarki pieściły nas i obsypywały jabłkami. Dla sierot i dzieci opuszczonych w tém wielkie jest szczęście, że interes innych osób wzbudzają. Ta opieka i troskliwość, acz prostych ludzi, budziła we mnie chęć podobania się każdemu, być zawsze uprzedzającym i wdzięcznym — a nawet próżność, żeby przez swój los wzbudzić na siębie uwagę i być jéj godnym, —

W lecie była naszém mieszkaniem stodoła; obok mieszkał staruszek ze swoją żoną, zwany gospodarzem, do którego grunta dworskie i wszelkie gospodarstwo należało. Mała ich izdebka była naszém zwykłém zimowém mieszkaniem. Ciepła izdebka, zawsze na kominie palący się ogień, przy którym ci staruszkowie siedzieli, stawiają dziś w moich oczach mieszkanie Filemona i Baucis. On był starym żołnierzem, ona kobiétą, która sługiwała po dworach. Przyjemne to były wieczory, kiedy przy pieczeniu kartofli opowiadał o krajach włoskich i francuskich, w których biały chleb jadał, i wino pijał, a ona rozwijała niewyczerpany zapas różnych powieści i tak zwanych gadek. Temu człowiekowi winienem, iż dotąd czułém

zawsze tęschnotę do ziemi nieznanéj, do podróży, któréj biedny stan mój wiele dodawał ochoty. —

Jedna zima, któréj wieczory na podobnych trawiłem rozmowach, nabawiła mnie piérwszy raz w życiu owéj prawdziwéj niespokojności i tęsknoty, któréj podobno każdy człowiek mniéj lub więcéj doznaje. Opowiadania o pięknych krajach Włoch i Francyi w tym sposobie, jak je mógł prosty żołnierz uważać i opisać, napełniło dziwnemi marzeniami mą duszę. — Żona jego niemniéj obudzała we mnie niespokojność, opisując różne zdarzenia przy dworach panów polskich: jak to młodzi ludzie i ubodzy odbierają od nich wychowanie, jak paradują, na koniach jeżdżą, jak dalekie podróże odbywają z panami, i tym podobne. Wszystko to było przypomnieniem obyczajów, które się już zmieniły, ale ja myślałem że ten świat za górami tak jest szczęśliwy, jak mi go opisywano, i jak go sobie w niewinnéj duszy wystawiałem. — Życie moje przy macosze od wszystkich znienawidzonéj, przy ojcu, który mało co o mnie wiedział, tém bardziéj tę moję chęć do szukania szczęścia u świata zwiększało. —

Zdaje mi się, iż gdybym był wtenczas Odysseę lub przynajmniéj Telemaka czytał, nicby mię nie było mogło wstrzymać — w méj tęschnocie stałem się odtąd smutnym i zamyślonym, i to były pierwsze błogie łzy moje, których boleść z roskoszą złączona jest urojoną. — Szczęściem, że wtedy żadnych książek prócz szkolnych nie miałem, że całą krainą mojéj imaginacyi były tylko powieści wieśniacze, które do mojéj tęschnoty dużo się przyczyniły, nie mogły mnie jednakże całkowicie obłąkać. Im się bliżéj ku wiośnie miało, tém więcéj mój umysł był niespokojny. Nakoniec z młodym bratem zaczęliśmy układać projekt tajemnego wybrania się z domu, i puszczenia się w świat na Bożą opatrzność Wszystkie dwory i zamki, o jakich słyszałem, jakie sobie w wyobraźni tworzyłem, stały mi przed oczyma we dnie i w nocy. Często wdarłszy się na dąb lub na dach folwarku, dumałem o szerokim

świecie, i przeglądałem widnokrąg, jak daleko go okiem zasięgnąć zdołałem. Codzień nabierając chęci do wykonania zrobionego planu, czuliśmy jednak potrzebę zwierzenia się komuś, za mentora więc naszego obraliśmy starego gospodarza, jemuśmy wszystko opowiedzieli. Człowiek ten prosty, pochwalił prawie nasz zamiar, jeszcze nas więcéj do niego zachęcał, a tak nic nam już więcéj nie zbywało. Namienił jednak konieczną potrzebę pieniędzy, podał nakoniec środek ich nabycia, który dla osiągnięcia skutku naszych życzeń, nie był dla nas okropnym. Ojciec odbierając co kwartał raty czynszowe, składał w osobny kufer trzygroszniaki węgierskie z obrazem Maryi na jednéj stronie. Było téj miedzi do pół kufra, który stał w osobnym niezamieszkałym pokoju, a my znosiliśmy do niego opałeczki uzbieranéj miedzi. — Gospodarz uczynił nam uwagę, iż te pieniądze są bardzo szczęśliwe dla tego, kto je mieć może, że mają władzę cudowną. Że Ojca prosić o nic nie można, boby się nasz zamiar wydał, — zgoła żeśmy się wkrótce domyślili, jakby ich dostać. Za każdą więc zdarzoną sposobnością braliśmy po gartce cudownych pieniędzy, któreśmy tajemnie w ręce gospodarza składali. Ten nie przestawał nam opisywać przyjemności naszéj podróży, a co nas najwięcéj cieszyło, że sam uda się z nami, że on także z macochą wytrzymać nie może. Nie pamiętam ileśmy mogli naszego funduszu uzbierać, ale wnet i układy nasze i bogactwo smutny koniec wzięły. Nasz gospodarz miał także swoje perijody, w których się przez dwie i trzy niedziele i więcéj trunkowi oddawał; wysłany jednego dnia na jarmark o pare mil, zabrał nasz fundusz podróżny, błąkał się gdzieś ze 3 tygodnie, i do domu z niczem powrócił. Postępek nasz się wydał, Ojciec nas tajemnie i łagodnie ukarał, a z gospodarzem zerwały się wszelkie dawne stosunki. Domyślić się także można, że w towarzystwie, w jakiém żyłem, najwięcéj między kobiétami prostemi nasłuchałęm się różnych powieści o duchach, zabobonach i czarach, co miało tyle wpływu na moję imagi-

niacją, iż odtąd puściwszy wodzę wyobraźni na te czarne kraje, jak dziecie sam własnych utworów się lękam. Dopomógł mi do tego bliski cmentarz, przez który musiałem zawsze do szkoły przechodzić. Kościołek drewniany, w środku tego cmentarza, nie wystawiał mi się inaczéj, jak za siedlisko duchów, które tamże po nocy swoje uczty miewają. Zwyczaj chowania uboższych ludzi bez trumien i składania ich na cmentarzu pod parchanem dniem przed pogrzebem, które to trupy często widzieć musiałem, zrobiły mnie na zawsze trwożliwym.—

Temu także życiu z wieśniakami winienem, o co oskarzyć się muszę, iż dotąd daleko łatwiéj umiem postawić się w stanie prostych ludzi, niżeli wykształconych wychowaniem z jakimi późniéj żyłem. Kilka słów wieśniaczki dosyć są dla mnie, (sic!) iżbym wszedł w ich uczucie. Więcéj także dotąd umiem się postawić w stanie kobiét, niżeli mężczyzn; więcéj mam skłonności rozważać ich skłonności i wsnuć się w ich marzenia, chociaż z niemi mało gdzie żyłem w ściślejszéj przyjaźni. —

(*d. c. n.)*　　　　*Kazimierz Brodziński.*

PRZEŚLADOWCA,
SZKIC OBYCZAJOWY.

(Przegląd).

W obecnym czasie, gdy drzewo literatury krajowéj w rozmaite rozrosło się gałęzie, a każda prawie, pięknym lubo młodym jeszcze pokrywa się kwiatem, pracownicy wielkiego ogrodu *sztuki*, powinni bacznie oddzielać uschłe lub robaczyste liście, aby owoc w samym zarodzie popsowanym nie został. — Im więcéj umysłowe życie narodu podnosi się, têm baczniéj uważać należy, aby ono z drogi postępu, nie zeszło na ścieżki wiodące wstecz lub do zastałości — środkiem zapobieżenia szkodzie jest tu krytyka — ktokolwiek przeto bierze na siebie obowiązek recenzenta, niechże pierwéj zajrzy w siebie i zastanowi się, czy może ufać własnym siłom, i czy sąd jego wolnym jest od osobistych widoków i podrzędnych względów — wtedy dopiéro, zapatrując się na dzieło ze stanowiska wyrobionego a postępowego, niech zda sprawę powszechności o nowym listku, co na ukochaném rozwinął się drzewie. — Obecnie, przychodzi nam mówić o dziele napisaném w rodzaju jaki u nas tak długo odłogiem leżał, a i dziś jeszcze nie ma należytéj uprawy — bo prócz dzieł Tyszyńskiego, Kraszewskiego i Eleonory (?) Sztyrmer, liczne drobnostki, które podobało się autorom nazwać szkicami i powieściami obyczajowemi, zasługują tylko na wzgardę ukształconéj powsze-

chności. — *Prześladowca* Bogusławskiego nie jest *szkicem* ale raczéj *powieścią* obyczajową—bo szkic, w ścisłém rozumieniu, znaczy lekkie nagromadzenie żyjących rysów, trafne i prawdziwe ich odbicie, ale rysów niewykończonych, a częstokroć oderwanych bez *ciągowego* porządku — szkic jest dopiéro *materyałem* dla powieści, a ta obejmuje dramat towarzyski, którego osoby powiązane ściśle wspólną intrygą, wspomagają się wzajemnie i działają w duchu głównéj myśli, która jest zasadą, stanowiskiem, a więc ideą pisarza. — W Powieści Bogusławskiego wszystkie osoby podrzędne zajmują stanowisko względnie do figury Prześladowcy (Rudolfa), którego charakter, przeto uważaćby należało za ideę dzieła. Czyli ta idea pozostanie *sobą* przed sądem stanowiska postępowego? — nie, bo Rudolf malarz, artysta, a więc człowiek wyższy, nie okazuje nam wcale strony czysto umysłowéj — jeżeli zamiarem autora było pozbawić go jéj zupełnie, to Rudolf jako człowiek czysto namiętności będący odbitkiem i wyrazem, dający się owładnąć niskiéj i grymaśnéj zemście nad słabą kobietą, w rozmowach swoich oponujący jakoby występki w ludziach, a nie widzący ich w sobie, który nakoniec, usprawiedliwia swoje zdrożności sofizmatowi wygodnemi, z pomocą których każdy czyn zbrodniczy da się usprawiedliwić, jest typem człowieka niskiego, zamkniętego w obrębie egoizmu i namiętności, a zatém za ideę autora uważać go nie możemy. — Jeżeli znowu zechcemy osądzić Rudolfa ze stanowiska moralnego, to jest, jeżeli myślą autora było uwięzić w osobie Prześladowcy smutny przykład, jakie jest życie i koniec człowieka egoisty i podległego namiętnościom, to wyznać nam przychodzi, że i tu cel chybiony, lubo już tylko jednostronnie — bo Rudolf należy do liczby bohaterów, którzy przy całéj szpetności charakteru nie wzbudzają w czytelniku pogardy, owszem wzniecając jakiś fantastyczny przestrach i podziwienie, przywięzują do siebie serca i głowy młodych, wrażliwych, a poklaskujących nadzwyczajności czytelników — figura przeto Prześladowcy

uważana jako idea powieści jest szkodliwą i szpetną. — Jeżeli zaś autor osobę Rudolfa dagerotypował z rzeczywistości, to zapytujemy go, w jakim celu zeszkicował charakter, który żadnego celu moralnego nie ma? — Zaprawdę, dobrze i zbawiennie jest rysować brzydotę i zwierzęcość człowieka zupełną, bo jaśniéj wtedy odbija piękność i wartość jego strony umysłowéj, albo wtedy, gdy w charakterze podobnym jedna chociaż iskierka ducha prześwieca przez oponę występków — bo wtedy następuje walka ducha z namiętnościami, dobrego ze złem — wtedy występuje wpływ obojga, a stąd powstają sytuacije szlachetne, okazujące jak jeden promień ducha zdolny jest ozłocić szkaradę występku i powstrzymać go na drodze nieprawéj. — W zamiarach Rudolfa nigdy nie zwycięża żadna myśl szlachetna, ale przeciwnie zbudzona na chwilę, ulega natychmiast fałszywemu rozumowi zemsty i egoizmu — ażeby można jaśniéj rozebrać inne osoby dramatu, przebiegnijmy pokrótce treść *Prześladówwy*. — Rudolf, człowiek zepsuty i namiętny, w czasie pobytu we Włoszech poznaje Amelije Radosz, wdowę młodą, powabną i bogatą, która przybyła tam w towarzystwie swéj ciotki pani Agrypiny, staréj, dumnéj i zalotnéj baby, zakochanéj w swych *szlachetnych pargaminach;* — pomiędzy Amelija a Rudolfem zawiązują się stosunki miłosne, w skutek których, Amelija zostaje matką, i zostawiwszy dziecie (syna) we Włoszech, wyjeżdża do kraju, dokąd podług umowy Rudolf ma przybyć z synem, aby zaślubić Amelije — Skutkiem intryg ciotki Agrypiny, która inne miała widoki względem Amelii, Rudolf potępiony niesłusznie w oczach téj ostatniéj, utraca jéj serce i szacunek. — Podczas niebytności Rudolfa, i Agrypina wyjechała do Wilna processować się: Edward, młody człowiek (poeta) zyskuje serce Amelii, a nakoniec zostaje jéj narzeczonym. — W tym czasie powraca Agrypina; wtedy zjawia się i Rudolf. Ten ostatni dowiedziawszy się o nastąpić mającém zamęściu Amelii, poprzysięga zemstę i przybiera sobie za wspólnika, a raczéj za ajenta, któryby mu donosił o wszystkiém, co

w domu Amelii dzieje się, Artura, młodego chłopca z dobrém sercem, ale zepsutego towarzystwem, lubiącego zbytek i trunki. Artur z prawdziwém poświęceniem się zawiązuje stosunki miłosne z Agrypiną, aby od niéj pozyskać potrzebne dla Rudolfa wiadomości. — Dla zyskania sobie podobnego człowieka, Rudolf potrzebuje pieniędzy — nie mając sam nic, udaje się do panny Ludwiki niegdyś swéj kochanki, dziś nierządnicy, któréj dom jest kantorem stręczeń miłośnych i jaskinią rozpusty (*) — Ta panna Ludwika jeszcze za czasów swéj młodości, w obec Rudolfa dokonała zbrodni dzieciobójstwa, a raczéj zamiaru tylko, bo Rudolf, wrzucone przez nią do Wisły dziecię uratował i oddawszy na wychowanie na wieś, państwu Wiejskim bezdzietnym, a bogatym małżonkom, nabył tym sposobem przeważnego wpływu nad Ludwiką, i grożąc jéj więzieniem za zbrodnię, przymuszał ustawicznie do ofiarowania sobie znacznych summ, które oddawał Arturowi jako nagrodę za czynne spółdziałanie tegóż w prześladowaniu Amelii. — Zamiarem Rudolfa pierwiastkowo jest przeszkodzić zamężciu Amelii z Edwardem, i dla tego to w czasie schadzki z tąż w altanie, grozi jéj uwiadomieniem Edwarda o dawniejszych swoich z nią stosunkach — wtedy ukryty Edward, który dosyć stoicko jak na młodego poetę, znosi wiadomości o hańbie swéj narzeczonéj, wybiega z ukrycia i nazywa Rudolfa podłym! — Rudolf nie obraża się bynajmniéj, ale zachowuje zimną krew niezachwianie — Edward pragnący koniecznie, jak widać, pojedynku, daje policzek prześladówcy — Rudolf i to znosi obojętnie. — Jeżeli autor rozumiał, że Rudolf w obecnéj sytuacyi zachowując krew zimną, nabierze barwy, mocy duszy i stałości charakteru, to nie dopiął celu, bo obojętność na zniewagę osobistą,

---

(*) Podobna *lewa* strona społeczeństwa, tak jawnie w powieści opisana, niepowinna była znaleść miejsca w *Prześladowcy*, który jest książką dla *wszystkich*, a więc i dla młodzieży płci obojéj.

(P. R.)

zaparcie się siebie, wtedy tylko znamionuje duszę wielką i silny charakter, gdy temu przewodniczy *cel wielki*, co nakazuje filozoficznie znosić wszystko bez szemrania, jeśli kosztem téj ofiary z siebie, *sprawa wielkiéj myśli*, żywszém zajaśnieje światłem — ale Rudolf przyjmujący zniewagę i policzek obojętnie, poświęcający gwałtowne oburzenie szlachetnego serca, zimnéj, podłéj, a wyrachowanéj zemście, występuje już jako zbrodniarz towarzyski, co nie pojmuje *wielkiego uczucia własnéj godności:* błąd tu tém ważniejszy, że strona moralna znowu szwank ponosi, bo niedość przenikliwe oko a zapalony umysł, może w téj zimnéj czelności Rudolfa upatrywać znamiona niepospolitéj duszy, i obudzić w sobie dla niéj sympatiję. — Ale wróćmy do treści. — Wkrótce potém Edward zaślubia Amelija i aby uniknąć prześladowań Rudolfa, zamyśla wraz z żoną opuścić kraj na długo. — W tym celu zgromadza wszystkie spólne kapitały. — Wtedy Rudolf odważa się na krok stanowczy — z pomocą Artura okrada Amelija i Edwarda, i przywodzi ich do nędzy. — W tymże czasie uratowany przez Rudolfa syn panny Ludwiki, (Maurycy), przysposobiony za syna przez swoich dobroczyńców, po śmierci państwa Wiejskich odziedzicza cały ich majątek i występuje w charakterze młodzieńca myślącego porządnie—Edward, aby zapewnić sobie i żonie sposób do życia, oddaje się mozolnéj pracy, przez co rujnuje swe zdrowie i następnie po krótkiéj słabości, umiera. — Nieco wcześniéj śmierć Agrypiny pozbawia Rudolfa i Artura czynnego w jéj osobie sprzymierzeńca. — W dniu śmierci Edwarda, Maurycy, co od czasu zgonu swych przybranych rodziców zamieszkiwał na wsi, przybywa do Warszawy, i dowiedziawszy się od Artura o bolesnéj stracie Amelii i smutnym stanie jéj interesów, zmyśla jakoby winien był jeszcze Edwardowi 3000 złp. — i że pragnie takowe zwrócić Amelii, którą od dawna skrycie kocha. W tym celu skłania Artura aby mu towarzyszył do mieszkania Amelii — Przechodząc przez rynek starego miasta, postrzegają tłum ludzi przypatrujących się staréj, obdartéj i pijanéj kobiecie, która

tańczy śród tłumu, usiłując tym sposobem zarobić kilka groszy. — Tą kobietą jest panna Ludwika, skutkiem bankructwa i kontrybucyj Rudolfa przywiedziona do zupełnego zniszczenia, a która obecnie zajmuje się zbieraniem gałganów. — Artur i Maurycy przybywszy do mieszkania Amelii, zastają trupa Edwarda i kilkunastu widzów, między któremi znajduje się i Rudolf. — Widok zmarłego — obraz nędzy jaka oczekuje pozostałą wdowę i małą córkę Edwarda, wzrusza Artura do głębi, który oświadcza Rudolfowi, że jeśli nie poprzestanie prześladować Amelii, tedy on sam wyda go w ręce sprawiedliwości: — ten uspokaja go, mówiąc, że jego zemsta już nasycona; jakoż Rudolf, który mimo ciągłego prześladowania kryje w sercu namiętność dla Amelii, wkrótce potém przybywa do niéj i na kolanach, błagając o przebaczenie, ofiaruje jéj swoję rękę i majątek — Amelija z szlachetném oburzeniem odrzuca jego prośby — wtedy zemsta budzi się znowu w sercu Rudolfa — chce on, przywiedzioną do nędzy Ameliję jeszcze zniesławić w oczach świata. Przeto udaje się do panny Ludwiki, któréj mieszkaniem obecnie jest brudna izba, pościelą — barłog, a jedyną pociechą..... wódka. — Ludwika zawsze z obawy, by Rudolf nie oskarżył jéj przed władzą, podaje mu środek wykonania jego zamiaru — obiecuje swą pomoc; lecz w myśli postanowienia zdradzić Rudolfa, którego śmiertelnie nienawidzi i lęka się zarazem. — Nazajutrz Rudolf, który dowiaduje się o miłości Maurycego dla Amelii, postanawia zabronić mu wstępu do niéj i czuwać nad jéj losem, — dla tego w towarzystwie Artura szuka dzień cały Maurycego. — Nad wieczorem dopiéro znajduje go między widzami, co skupili się nad ciałem kobiéty w skutek pijaństwa tkniętéj apopleksiją — jest nią panna Ludwika matka Maurycego — leży rozciągnięta na śmietniku, a na jéj trupa obecni poglądają z obrzydzeniem i wzgardą — wtedy Rudolf oznajmia Maurycemu, że Ludwika jest jego matką; okazuje mu na to dostateczne dowody i grozi ogłoszeniem tego wszystkiego publicznie; — lecz, jeżeli on,

(Maurycy), opuści kraj natychmiast i zaprzestanie zajmować się losem Amelii, tedy po dwuletnim przeciągu Rudolf odda mu dowody świadczące o jego urodzeniu. — Znaglony tém Maurycy, przyrzeka wypełnić wolę prześladowcy. — Wtedy Rudolf, chcąc pozbyć się ostatniego świadka kradzieży w osobie Artura, udaje przed nim, jakoby go rozbroiły cierpienia tylu ofiar, że ma zamiar oddać Amelii skradziony majątek, a sam opuści te miejsca na zawsze — w tym celu naznacza mu schadzkę w miejscu odludném (w murach Denassowskich), gdzie, jak powiada, ukrył pieniądze Amelii. — Artur przybywa na oznaczone miejsce, a uniknąwszy szczęśliwie zdradzieckiego ciosu Rudolfa, zabija go sam, i zabrawszy pugilares prześladowcy, w którym zawierają się dowody urodzenia Maurycego, ucieka za granicę. — List Artura z Londynu datowany zakończa dramat: — w tym liście donosi Maurycemu, że akt jego urodzenia został spalony; uwiadamia również, że summy Amelii, wraz z synem Rudolfa znajdują się zapewnie w jego mieszkaniu, i kończy zapewnieniem, że odtąd prowadzić zacznie uczciwe i czynne życie. — Takim sposobem Amelija odzyskuje majątek i syna, który istotnie znajdował się w mieszkaniu Rudolfa pod strażą starego sługi. — Naostatek, autor sam kończy swoję powieść pozostawując domysłom czytelników, czy Amelija zaślubiła Maurycego, lub nie. — Otoż treść *Przesladowcy.*

Zapatrując się na obecną powieść, musimy wyznać, że charaktery wszystkie, autor utrzymał doskonale: — figura samego nawet Rudolfa, pomimo uczynionych już wyżéj zarzutów, ma zaletę nieodmienności, tém większą, że sytuacije Prześladówcy stawiają często autora w moralném położeniu względnie utrzymania jego charakteru. — Najlepszą figurą powieści jest panna Ludwika. — Charakterowi temu pod żadnym względem nic zarzucić niepodobna; — jeżeli autor tworzył go z wyobraźni, to podziwiamy trafność i doskonałe pojęcie podobnéj istoty; jeśli zaś szkicował go z natury, to dziękujemy mu za mistrzowskie przerysowanie charakteru, w którym cel najważ-

niejszy obyczajowéj powieści, cel moralny, w zupełności osiągniętym został. — Ta panna Ludwika, pędząca młodość w rozpuście, wiek dojrzały na intrygach i zbrodni, w starości wlekąca brudny i skołatany żywot, z haczykiem w ręku między stosami śmieci i gałganów, podła i szkodliwa śród bogactw, niska i bezwstydna śród nędzy, jest groźnym przykładem dla niewiast, co zaczynają frymarczyć najdroższym skarbem płci swojéj — honorem! — Taki koniec poniżonych istot, odartych ze śnieżystéj szaty niewinności, taki koniec tym wszystkim, co założyli cel życia w osiągnieniu korzyści osobistych. Podłą w karecie, podłą na śmietniku będzie *każda* panna Ludwika; raz jeszcze dziękujem p. Bogusławskiemu za tę doskonałą choć i doskonale zarazem obrzydliwą figurę.—Z kolei przychodzi nam mówić o charakterze Artura. — Jego musimy osądzić z dwojakiego stanowiska: — jako osoba powieści, jako typ człowieka młodego z zaniedbaném wychowaniem, bez ukształcenia i podległego nałogom, przy zachowaniu pewnéj cząstki szlachetności wrodzonéj, Artur jest dobrze odszkicowany; charakter jego jest widoczny, co wynika, iż tenże w sytuacijach dramatu częstokrotnie ukazuje swoję stronę umysłową; — pod względem celu moralnego, figura jego również odpowiada wymaganiom krytyki, bo w rozwinięciu charakteru Artura, widać jasno do czego prowadzi złe towarzystwo, zaniedbanie umysłowe i próżniactwo. — Lecz znowu obwiniać musimy autora, dla czego w rozumowaniach Artura tak często widną jest niby — filozofija, ale to najfałszywiéj pojęta? — może p. Bogusławski odpowie nam, że śmiesznie jest wymagać, aby figura, którą postawił na niskim stopniu ukształcenia, rozumowała o filozofii z wyższego stanowiska? — ale nam nie o to tu idzie. — Pojmujemy że Artur nie mógł inaczéj, a przynajmniéj wyżéj rozumować, ale w jego mowie powinna być pewna ironija z własnych rozumowań, bez własnéj świadomości wydana, którаby zarazem obalała błędne rozumowania i pokrywała jasno, że one są fałszem. Ale autor często, jakoby od siebie samego, zwraca

tę ironią przeciw nauce filozofii; — jest to błąd ważny i bardzo ważny, niech p. Bogusławski zechce pamiętać, że filozofija jest nauką wielką, zamykającą w sobie ducha całéj ludzkości; że jéj księgi obejmują w sobie umysłowe życie mężów, co stali się mędrcami świata, co żelazną pracą i trudami z poświęceniem własnego bytu, nagromadzili zasady i systemata mające na celu ubóstwienie człowieczeństwa! — Cień szyderstwa z podobnéj nauki, jest występkiem w obliczu oświaty i postępu, a to tém więcéj u nas, gdzie filozofija leży odłogiem, gdzie nie pojmują jéj wcale, i bardzo łatwo mogą skłonić się do poklaskiwania zdaniom, do których autor *Prześladowcy*, ze znakomitym dowcipem, snadno miałkie ich umysły przywiązać potrafi. Niech pan Bogusławski pamięta, że nie pisze ani w Niemczech, ani we Francyi, gdzieby podobne błędy były nieszkodliwe dla oświeconego narodu, ale w ubożuchnéj filozoficznie i umysłowo Warszawie; — sądzim, że autor oceni słuszność obecnego zarzutu i uniknie w przyszłości podobnego błędu, by nie żałował kiedyś, że niebacznie nauczył ludzi wyszydzać siebie samych w osobie własnego ducha. — Podobnyż błąd, lubo mniéj, widać jednak i w charakterze Zofii, subretki Amelii. — Charakter Edwarda (poety) jest uroniony w samym zarodzie. Uwikławszy w miłość, autor zrobił go niewyraźnym, bladym cieniem tylko uczciwego i porządnego młodzieńca, ale nigdy człowieka wyższego; — ani jeden wyraz Edwarda nie przypomina poety; jego charakter cały nie odpowiada założeniu, i dla tego zupełnie jest chybiony. Kiedy Edward utraca majątek, skutkiem kradzieży Rudolfa, wtedy zdaje się, że jakiś cień wyższego serca błyska na chwilę, bo on odrzuca pomoc przyjaciół — nie chce jałmużnie, ale własnéj pracy być winnym utrzymanie życia — ale to zbudzenie się, znika nierozwinięte. — Znacznie lepiéj oddany jest charakter Amelii lubo również za blado. — Amelija.... to pospolita kobiéta; w niéj nic wyższego, lecz wszystko zwyczajne tylko; jednakże jéj sytuacije i charakter dokładniéj już wydane, i gdyby jeszcze autor

dołączył do tego stronę umysłową, Amelija byłaby cudną figurą, ale na nieszczęście niema tam wydatnéj walki młodéj i dumnéj duszy z przypomnieniem hańby, co ją okrywa; a takie sytuacije są rzeczą ważną w obliczu celu moralnego. — Amelija nie powinna była zaślubić Edwarda, bo przez to poświęcała honor swego syna dla egoistycznéj namiętności — najwyższy ideał przeznaczenia kobiéty leży w wyrazie *„Matka"* i dla spełnienia jej obowiązków, wyższa istota z młodą i zdolną do poświęceń duszą, pozbawia się osobistego uszczęśliwienia. — W ogóle Amelija jest kobiétą tylko taką, jaką jest pospolita kobiéta, i to słabą, a nie taką, jaką kobiéta być powinna. — Doktor Leon, osoba zupełnie podrzędna, wzbudza w nas żal, że nie widzimy jéj w rozwinięciu, bo wyznajem, że obiecuje wiele. Toż prawie i o Maurycym powiemy. — Agrypina oddana jest wybornie; — źle zrozumiana ambicija, głupstwo, arystokracija, słowem cały charakter staréj intrygantki i kokiety oddany przecudnie, a cel moralny, widoczny: — nie możemy tak, *jakbyśmy chcieli*, powiedzieć o charakterze Agrypiny, ale oceniamy go należycie i składamy dzięki autorowi za tę prawdziwą i doskonałą karykaturę..... Jest jeszcze jedna figura zupełnie odrysowana i rozwinięta, lubo nie wpływająca wcale na bieg dramatu; — nią jest pan August pseudo-poeta. Lubo może wielu z czytających zarzuci, że charakter Augusta jest przesadzony, my niestety! ze smutkiem wyznajem, że p. Bogusławski doskonale i trafnie zeszkicował typ prawdziwy, praktyczny, i musimy powtórzyć z autorem: „iluż takich Augustów na świecie! *ich się nie sieje....*"

W ogóle, główną zaletą *Prześladówcy* jest obrobienie, to wszystko co pod tym wyrazem się rozumie. — Język wszędzie prześliczny. — Tom piérwszy małą ma wartość; przepełniony bowiem sytuacijami mniéj przyzwoitémi, lubo może prawdziwémi, ma płytką zaletę, zaledwie humorystyczną tylko: — dopiéro w drugiéj połowie powieści, widnym jest autor z prawdziwym talentem; mnóstwo sytuacyj zupełnie dobrych. Roz-

dział pod tytułem *Ślub i Piasek* obrobiony po mistrzowsku; scena pożegnania Emilii (osoby podrzędnéj) z Ameliją, rozrzewnia tkliwą prostotą, ku końcowi zwłaszcza; — scena na starém mieście, gdzie tańczy Ludwika, rozmowa Rudolfa z Ludwiką, w któréj naradzają się nad sposobem zniesławienia Amelii i t. p. tak oddane, że musimy prosić autora, aby nie przestawał pracować w obranym zawodzie, co mu przyniesie przekonanie, że życie jego umysłowe było pożyteczną pracą dla moralnéj strony społeczeństwa. — Jedna z główniejszych piekności *Prześladowcy* leży na nieszczęście w jego wadzie, to jest, w epizodach, gdzie nie dramat, ale autor sam przemawia do czytelnika. Jest to błąd ważny w obliczu sztuki, bo dramat sam działać powinien; autor niema potrzeby przypominać swéj obecności, bo to jest słabą stroną powieści; — ale jakże tu pogodzić się z sobą, jak odważyć się zganić, naprzykład epizod w 5tym rozdziale IIgo tomu, gdzie autor mówi od siebie: „Nasze piękne ogrody, „te miejsca przechadzki, obmowy, plotek i romansowych zejść, „gdzie niedawno kapryśna moda w złudnéj rozmaitości roz„sypywała tak szczodrze swoje kruche, znikome i błyszczące „cacka; gdzie pod zielonemi płaszczami starych lip i kaszta„nów, słychać było gwar różnorodnych pojęć, uczuć, wyo„brażeń; gdzie widać było tyle pięknych twarzy, mało „którą bez maski; ludzi było tak wiele, a głosów i serc tak „mało!... miejsce dzisiaj było nagie, milczące, opustoszone, niby „starożytny zamek, którego świetność przetrawiły wieki, któ„rego chwała i pieśni przebrzmiały! ale zdaje mi się, że to „porównanie nie jest dość trafne, bo ogrodom, gajom i łąkom „wiosna powróci barwę i życie, i na nowo przyciągną do siebie „tłumy..... a stare gruzy? czémże mogą zwabić?.... Wspomnie»niem?..... fraszka! Któżby dziś chciał zakurzyć białe ręka„wiczki odgrzebując pamiątki z pyłu minionych wieków? mało „takich niestety! pociecha przynajmniéj że są — podobno zbo„czyłem cokolwiek od rzeczy, wybacz czytelniku! co nam do „*starych gruzów*, co nam do *ubiegłych czasów?* zostawmy to

„poetom i historykom — oni to jak puhacze w słodkich lub „smutnych marzeniach drzémią na zwaliskach, cofają się myślą „do *starych cnót i obyczajów*... a potém krzywią się, spojrzawszy „na *moralny żywioł dzisiejszego społeczeństwa*...... dobrze im „tak!!“ — A jednakże jest to błąd ważny, lubo podlegają mu i najznakomitsi europejscy pisarze; jest to skutkiem i prawdą królującéj w XIXstém stuleciu indywidualności, która nie pozwala pozbyć się siebie. — Zakończenie *Prześladówcy* ma też samą wadą, bo nie dramat, ale autor kończy rzecz, odzywając się dosyć zalotnie do czytelnika, témi słowy: „a ty, łaskawy i znający serca ludzkie czytelniku, domyśl się reszty.“— Autor nie powinien być kokietką dla czytelnika, a uniknie tego, jeśli pozbędzie się *siebie*, co jest najwyższą apoteozą wyrobienia umysłowego. — Kończymy wreszcie, odzywając się do autora, by w dalszych pracach swoich mniéj zważał na humorystykę a bardziéj wnikał w umysłową stronę ludzi; mamy niepłonną nadzieję, ze pan Bogusławski wywiąże się z tego korzystnie, bo lubo dzieło jego obecne pozbawione jest *idei*, któraby nam dała poznać zasady jego, ale w epizodach, które nazwaćby należało *prześlicznym błędem*, widnym jest prawy umysł pisarza (*).

Warszawa dnia 26 czerwca 1844 roku

Alc. Niewiarowski.

(*) Autor Prześladowcy, jest znanym pisarzem scenicznym; jego pióra są oryginalne sztuki: Urojenia; — Stara romantyczka; — Adwokat; — Krewni; — Lwy i Lwice; — oraz libretta opery Kontrabandzista. Należał dawniéj do wydawania *Chwili spoczynku*, i innych pism czasowych. *(Przyp. Red.)*

POEZIJA.

Lubię ja, gdy w poranku w wrota lazurowe
Na rydwanie utkanym złotem, rubinami,
Słońce, życia rodziciel, czoło brylantowe
Roztoczy nad biédnémi świata mieszkańcami.
Wkoło wszystko ożyje — a uśmiech uroczy
Spływa z nieba odziewać góry i doliny;
Lubię wówczas podnosić modlące się oczy
Na ten obraz promienny stubarwnéj krainy,
I duszą lubię tonąć w tym błękitnym niebie,
I pojmować Stwórco Ciebie!

Lubię w chwili zachodu, cichy, dumający,
Znów w słońce spozierać, jak pada w płomienie
Ognistego zachodu — i uśmiech tęskniący,
Ostatni promyk rzuca na świat, jak wspomnienie.
To słońce, co się dzisiaj rozstaje z stworzeniem,
By znów jutro je witać — o, to wieszcza dzieje,
Co chociaż umarł dzisiaj, jutro pieśni brzmieniem
Po-nad światem smutnym znowu zajaśnieje.
Lubię myśleć naówczas o nieśmiertelności
I o laurze — choć dla kości!

O i w ciebie, ponure, piorunami wrzące,
Spozierać lubię niebo — a kiedy grzmot ryczy,
Lubię słuchać twój łoskot o niebo gorące,
I patrzyć w błyskawicy uśmiech tajemniczy.

Ja wówczas duszę moję do akordu stroję,
I oczy topię w czarnéj niebieskiéj przepaści,
I kiedy świat drży cały, w obec ciebie stoję
I śmieję się z twych gromów, bo znam sroższe burze —
I szczęsny'm, że mię przecie niebo zrozumiało,
Że pieśń moję zaśpiéwało!

Lecz miléj, stokroć miléj, nad wszystko mi miło,
Gdy na tle cichéj nocy gwiazdy zajaśnieją,
Gdy księżyc jak wspomnienie, co się już prześniło,
Odrodzi smutne niebo swym blaskiem — nadzieją;
Wówczas to nad mém sercem archanioł marzenia
Z jasnych chmurek zlatuje — i patrzę mu w lica,
I widzę w nich kochane przeszłości wspomnienia,
I długo wciskam oczy w bladą twarz księżyca,
I zda się mi, że widzę jéj uśmiech uroczy,
I jéj czoło i jéj oczy.

Galli.

POŻEGNANIE HEKTORA.

PRZEKŁAD Z SZYLLERA.

Przez Michała Kolickiego. (*)

Andromącha.

Więc mnie rzuca Hektor już na wieki,
Spiesząc tam, gdzie Achill z swémi Greki
Patroklowi srogą zemstę śle.
Któż twojego syna uczyć będzie
Oszczep rzucać, Bogi czcić w obrzędzie,
Gdy na czarném staniesz piekła tle.

Hektor.

Luba żono, ukoj żale twoje,
Pałam żądzą krwawe staczać boje,
Tarczą Troi jest ta silna dłoń.
Walcząc w sprawie za ojczyste bogi,
Gromiąc dumne kraju mego wrogi,
Chętnie zstąpię na stygijską błoń.

(*) Przekład ten, znakomitego nauką a zbyt wcześnie zgasłego wieszcza—(umarł w Bonne r. 1828 skutkiem bezprzykładnéj pracy umysłowéj) — o ile nam wiadomo, dotąd tylko przy nutach był drukowany.

Andromacha.

Nie usłyszę szczęku twojéj broni,
Gorżkie nad nią oko łzy uroni,
Królów Troi wielki padnie tron.
Pójdziesz, gdzie Feb nie rozwija czoła,
Tam, gdzie Kocyt jęcząc toczy koła,
Lete niesie twéj miłości zgon

Hektor.

Wszystkie myśli, wszystkie me życzenia,
Znajdą koniec w rzece zapomnienia,
Méj miłości wiecznie płomień trwa.
Słyszysz walki pod murami wrzawę?
Podaj miecz, a ukój łzy twe krwawe,
Méj miłości wiecznie płomień trwa.

Kronika Piśmiennicza

POLSKA.

340. Roczniki Towarzystwa naukowego krakowskiego.

Z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego. Poczet nowy, tom 1. (ogólnego zbioru tom XVI). Kraków w drukarni uniwersyteckiéj — 1844 r.

Rejestr rozpraw w tomie 1, ogólnego zbioru tomie XVI. zamkniętych. — I. Rzut oka na stan ogólny Towarzystwa Naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego; począwszy od zawiązania się jego w roku 1816, aż do końca roku 1839. — Rzecz czytana na posiedzeniu publiczném w dniu 25 lutego 1844 roku przez *Józefa Brodowicza*, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezesa Towarzystwa Nauk. Krak str. 1I II. O *Grzegorzu z Sanoka*, napisał *Michał Wiszniewski* NN. WW. i Fil: Dr. dziekan i professor wydziału filozoficznego w Uniwersytecie Jagiellońskim str. 33. — III. Rozprawa o początku, wzroście i obecnym stanie Ekonomii Politycznéj, przez *Ferdynanda Kojsiewicza* O. P. D. professora nauk administracyjnych w Uniwersytecie Jagiellońskim, na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Naukowego krakowskiego z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego, w amfiteatrze Nowodworskim d. 28 lutego 1833 r. czytana str. 53. — IV. O zapatrzeniu się brzemiennych niewiast. — Rzecz czytana na posie-

dzeniu prywatném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego, dnia 14 kwietnia 1834 r. przez *Feliksa Trojańskiego* Med. Dra, członka czynnego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego str. 99 — V. O duchu Mitologii Greków i Rzymian. — Rozprawa przez *Kajetana Trojanowskiego* NN. WW. i Fil. Dra, dziekana i professora wydziału filozoficznego w Uniwersytecie Jagiellonskim, na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego czytana str. 120. — VI. Obraz obserwacyj metorologicznych w r. 1840 w obserwatoryum astronomiczném krakowskiém robionych, podany przez *Maksymiliana Weisse*, dyrektora tegoż obserwatoryum i professora matematyki w Uniwersytecie Jagiellońskim str. 133. — VII. Obraz obserwacyj meterologicznych w roku 1839 w obserwatoryum astronomiczném krakowskiém robionych, podany przez *Maksymiliana Weisse*, dyrektora tegoż obserwatoryum i professora matematyki w Uniwersytecie Jagiellońskim str. 151. — VIII. Rys życia i prac naukowych ś. p. *Stanisława de Bohusz Siestrzencewicza* arcybiskupa Mohilewskiego, Metropolity kościołów rzymsko-katolickich w Rossyi, wielu orderów kawalera i wielu uczonych Towarzystw honorowego członka; skreślony i przedstawiony na publiczném posiedzeuiu Towarzystwa Nauk. Krakow. z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego dnia 27 maja 1839 r. przez JX. *Fr. Stachowskiego* K. K. K. professora przy tymże Uniwersytecie str. — 166. — IX. O Kometach w ogólności, a w szczególności o Komecie *Haleja*. — Rozprawa czytana na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego przez *J. K. Steczkowskiego* Dra Filozofii, adjunkta przy obserwatoryum astronomiczném i członka tegoż Towarzystwa. dnia 18 października 1834 roku str. 182. — X. O syenitach i dyorytach w okolicach Cieszyna. — Rozprawa na posiedzeniu prywatném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego czytana przez *Ludwika Zeisznera* NN. WW. i Fil. Dra, członka czynnego tegoż Towarzystwa str 213

XI. Pomiary barometryczne Karpat w roku 1840 przez *Ludwika Zcisznera* NN. WW. i Fil. Dra, członka czynnego Towarzystwa Naukowego Krakowskiego wykonane, i na posiedzeniu prywatném tegoż Towarzystwa przedstawione str. 222. XII. O pomiarach barometrycznych w kopalni Wielickiéj. — Rzecz na posiedzeniu prywatném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego przez *Ludwika Zeisznera* NN. WW. i Fil. Dra odczytana str. 234. — XIII. O podwyższeniu temperatury w głębiach kopalni Wielickiéj; na posiedzeniu prywatném Towarzystwa Naukowego krakowskiego odczytał *Ludwik Zeiszner* NN. WW. i Fil. Dra str. 239. — XIV. O zasługach *Mikołaja Kopernika* w Astronomii; na posiedzeniu publiczném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego dnia 14 lutego 1834 r. czytał *Karol Hube* rektor Uniwersytetu i prezes tegoż Towarzystwa str. 245. — XV. Rozprawa o różnicy jaka zachodzi między prawem przyrodzoném a nadaném w teoryi umów, przez *Józefa Emanuela Jankowskiego* NN. WW. Fil. i O. P. D. professora Filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim, na posiedzeniu prywatném Towarzystwa Naukowego Krakowskiego czytana str. 266. — XVI. Pomniki do dziejów Uniwersytetu Jagiellońskiego, zebrane przez *Józefa Muczkowskiego* professora i bibliotekarza str. 285. — XVII. Statut Towarzystwa Naukowego Krakowskiego z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego 378.

341. Athenaeum.

Pismo zbiorowe, poświęcone historyi, filozofii, literaturze, sztukom i t. d. — Wydawca I. J. Kraszewski. Oddział IV. zeszyt II. Wilno 1844, nakład i druk T. Glüksberga.

Zawiera:

Nekrolog Ignacego Bogdanowicza przez J. W.

Filozofija Historyi. — Autor bezimienny, którego ta praca podobno jest piérwszą w tym rodzaju, dowodzi w swéj roz-

prawie, skreślonéj z wgłębieniem się w przedmiot, że związek historyi z filozofiją jest koniecznym.

Historija — Joanna z Ark, dziewica z Orleanu. Wyjątek ze studijów historycznych i literackich — (ob. *Athenaeum*, oddział III, zeszyt IV) — przez Kazimierza Bujnickiego. — Artykuł ten zawiéra kilka trafnych uwag nad życiem dziejowém Joanny d'Arc, oraz dramatem Szyllera *Dziewica Orleańska* i dramatem Szekspira *Henryk* IV.

Spiewy historyczne Ukrainy, przez E. Izopolskiego. (Ob. oddział IV, Athen. zeszyt Iszy). — Są to zajmujące pamiątki i zabytki ubiegłego czasu. Wszędzie w tych dumach żałość się odbrzmiewa, tak samo, jak i w rzewnéj ich nucie — gdzie dosłyszysz tłumioną tęskotę za szczęściem, co już zniknęło, lub téż, które z wieści spragnionemu sercu tylko jest znaném.

Literatura. — Okno na piérwszém piętrze, dramacik w jednym akcie przez J. Korzeniowskiego, zajmująco i ze zwykłym talentem autora napisany.

Dainos, pieśni litewskie przez J. I. Kraszewskiego. Pieśni te pełne czucia i słodyczy, tchnące rzewnością i tęsknotą, mają bliskie spowinowacenie z *dumkami ukraińskiémi* — pewnie jedne i te same uczucia, jedne i te same myśli wyrodziły je w sercach ludowych wieszczów — przemawiają one do serca i smętne wywołują marzenia. — Dzięki Kraszewskiemu, że nas z niemi obznajmił.

Przytaczamy tutaj jednę - bez wyboru — malującą z prostotą żal sieroty:

Posłali mnie do lasu,
Do lasu za jagodami,
Do lasu za czernicami —
Jagód ja nie zbierałam,
Czernic ja nie szukałam.
Weszłam ja na pagórek

Na matczyną mogiłę —
Gorzkiemi łzy płakałam
Za matką ukochaną.
»Kto tam w gorze po mnie płacze?
»Kto wszedł na moję mogiłę?"
— Ja to — ja, matko kochana,
Ja opuszczona sierota,
Kto mi włos mój rozczesze?
Kto mi twarz obymyje?
Kto słodkie powié słowo?

Nawrócona, powieść przez Karolinę Swaracką. Autorka powziąwszy zamiar napisania powyższéj powieści, wielki i piękny cel sobie obrała: bohatérką jéj jest Żydówka — istota wyższych pojęć — marzeń poetycznych — przechodząca na łono religii chrześciańskiéj. — Lecz zgadzamy się zupełnie z sądem w téj mierze I. J. Kraszewskiego, i wyrazy jego przytaczamy:

„Nie możemy odmówić prawdziwego talentu autorce, któréj piérwszą obszerniejszą pracę umieszczamy; — ale razem potrzebujemy spytać, dla czego tak trudny obrała sobie przedmiot? — Jéj talent bowiem w daleko silniejszém okazałby się świetle, gdyby nie potrzebował walczyć z trudnością przedmiotu. — Pani K. S. jest dla nas pięknych nadziej pisarzem, życzymy pracy i wytrwałości."

Zaiste, i my przyznajemy pani Swarackiéj piękne zdolności, ale: oddanie walki wewnętrznéj uczuć z sobą sprzecznych, jakiemi było w Sarze przywiązanie do matki Żydówki i pragnienie zostania Chrześcianką — oraz i jéj miłość dla Chrześcianina; oddanie niezwyciężonego wstrętu dla swoich spółwierców i pokrewnych, których Sara w takiém poniżeniu moralném widziała, téj srogiéj boleści, że czując się o tyle wyższą, zniewoloną była żyć z istotami, któremi tylko pogardzać mogła, i których los poniżenia podzielać musiała — gdy poe-

tyczna jéj dusza ku innym wzlatywała sferom! — Wszystko to zbyt słabo szanowna autorka oddała.— Lepiéj jéj się przecież udało skreślenie charakterów Rubaszyńskiego, lubiącegoli spokojność, jego miłéj i łagodnéj żony, i panny Klary — staréj panny! — Ależ biedne te stare panny! — Nieszczęśliwe, które nieraz, że przedmiot swéj piérwszéj miłości postradały, i nie potrafiły innemu ręki swéj oddać — lub téż, że pomimo rzadkich zalet i wdzięków, patrzéć się musiały, jak w około nich tylko majątek szalę wyboru żeniącéj się młodzieży przeważał, a same, bez posagu, losem wskazane zostały na stare panieństwo — i jeszcze służą w latach poźniejszych, smutnych samotnego życia, za cel różnym dokuczliwym żarcikom.— O jakżeż łatwo kwaśny i cierpki nieraz humor tych biedaczek usprawiedliwić!

Rozdiałek z podróży uczuciowéj przez *Johna of Dycalp.* — Niby humorystyka, ale tak ckliwa, tak nudna, jaka tylko z pod pióra *spléen'* owego *Johna* wypłynąć mogła.

Urywek, poezija przez I. J. Kraszewskiego — Skarga, że wieszcz połowę tylko czucia swego, w swém pieniu wylać zdolen — że lepsza pieści połowa na zawsze schowa się w jego piersi.

DONIESIENIE NAUKOWE.

Rok upływa, jak wyszły na widok publiczny Przygotowania do Wiedzy Mowy Polskiéj. O ile odpowiedziały czasowi i naturze przedmiotu, zostawia się sądowi czytającego ogółu. Co do wydawcy, czuł się samą własnością obranego stanowiska i zamiłowania przedmiotu obowiązanym do głębszego wpatrzenia się w rzecz, wystawienia jej w wyraźniejszém i o ile warunki umiejętności pozwalają, przystępniejszém świetle. DALSZY CIĄG PRZYGOTOWAŃ, będący organiczném następstwem piérwszego, zawierać będzie: Ogólne stanowisko mowy, imię, słowo, a przedewszystkiem składnią.

Przedpłata przyjmuje się w Warszawie u G. Sennewalda, w Lublinie i innych miastach u uproszonych osób.

Składający prenumeratę za dziewięć egzemplarzy, otrzymają dziesiąty bezpłatnie.

Cena egzemplarza rub. sr. 1 kop. 5. czyli Złp. 7.

Lublin 6 *lipca* 1844 *r.*

FELIKS JEZIERSKI.